



„Bohaterami są ludzie, którzy, aby zarobić na życie, sami nie mają czasu żyć”.

## Po prostu kuchnia...

Niedawno w Teatrze Polskim we Wrocławiu odbyła się premiera dramatu Arnolda Weskera pt. „Kuchnia”. Premierę poprzedziło sporo reklamy i sensacyjnych wiadomości o pracy naszych aktorów w kuchni restauracji „Monopol”, gdzie przebiegały próby przedstawienia. Mimo to na sam spektakl szłam bez specjalnego zainteresowania, niewiele się spodziewając. Bo cóż ciekawego można powiedzieć o zwyczajnej restauracyjnej kuchni?

Scena bez kurtyny. Zapelniają ją kuchenki gazowe, stoły, pień do rąbania mięsa, garnki, tace, talerze. A więc realizm sprzętów, scenerii. Po chwili gong i scena wypełnia się ludźmi. Wszyscy schodzą się do pracy: źli, weseli, niewyspani, zdenerwowani. Każdy przechodzi w porządku, niebale rzucając „dzień dobry” — współpracownikom, ubiera się szybko w roboczy biały fartuch i zaczyna się zwykła codzienna, zmudna praca. Kuchnia w dramacie Weskera nie jest żadnym symbolem, metaforą ani przenośnią, jest tylko kuchnią: wielkim pełnym par, zapachów, odpadków, ruchu, gorąca i nerwów pomieszczeniem. Tempo pracy sprawia, że ludzie poruszają się jak automaty.

Wanda Laskowska — reżyserka przedstawienia — pokazała nam na scenie udrumatyzowaną, rytmizowaną, zwyczajną, codzienną pracę. Przez tę kuchnię przewijają się sprawy wielkie i drobne. Ktoś kogoś kocha, z kimś się kłóci, ma marzenia, drobne kłopoty domowe. Jednym słowem — zwyczajny człowiek w procesie i rytmie codziennej pracy. I to reżyser pokazał nam w sposób niezwykle atrakcyjny. Postacie dramatu nie są karykaturami; aktorzy tym razem grają

normalnych, szarych ludzi, tłum. Jest więc ta kuchnia zwykłą, kuchnią, ale jest też mikroświatem ludzi w niej pracujących, ludzi związanych ze sobą pracą i wspólnym interesem. Tłum właściwie pozbawiony twarzy, ale tłum pulsujący, kłębiący się, ścierający, rozpadający na ileś tam ludzkich, indywidualnych istnień. Każdy ma swoje problemy, kłopoty, marzenia. Tragiczno-groteskowa sytuacja człowieka w kleszczach wrogiego mu systemu. Jednocześnie reżyser pokazał nam, że ta kuchnia i ta praca może być dla człowieka piekłem. Bohaterami są ludzie, którzy, aby zarobić na życie, sami nie mają czasu żyć.

Przedstawienie trwa tylko dwie godziny. Dwa epizody z życia kuchni popularnej, wielkiej restauracji, w której wydawano 1500 posiłków dziennie. Personel — trzydziści osób: kucharze, kelnerki, personel pomocniczy. Na naszych oczach wykonują swą ciężką pracę. W chwilach przerwy, wyrwanych z trudem z wielu godzin harówki, ci ludzie marzą, buntują się, kłóca, robią sceny małżeńskie. Wszystko zagłusza zgiełk zamówień. Wanda Laskowska stworzyła teatr akcji, nieustannego ruchu; naturalistyczny obraz ludzkiej pracy na kawałek chleba. Każda taka kuchnia — z chwilą rozpoczęcia pracy, wejścia gości do sali restauracyjnej — ogarnia szaleństwo. W każdej takiej kuchni gość z sali restauracyjnej to wróg tych, którzy wykonują zamówienia, wróg całej kuchni. Kucharze, kelnerki, talerze, i znów kucharze, talerze, kelnerki... i tak w kółko, jak w kołowrocie, bez wytchnienia, maszyny na pełnych obrotach. Niezwykły pośpiech, rozdrażnienie, nerwowość, zrzedliwość, dochodzenie do głosu fałszywych ambicji, snobistycznych zapędów to tylko fragmenty tej atmosfery, która panuje w kuchni. Ludzie stłoczeni w jednym miejscu, skazani na wykonywanie najbardziej odrażających i niewdzięcznych czynności. I wszystko to — w zawrotnym tempie, w ciągłym wyścigu z czasem. Cała scena bez przerwy jest w ruchu. Jeden drugiego prześciga. Ludzie obijają się stale o siebie, kłóca i żra między sobą, ale w razie potrzeby są

bardzo solidarni, ponieważ wiedzą, że gdzie indziej czeka ich takie samo podłe życie, taki sam los. W tej atmosferze, w tym niesamowitym tempie, w którym żyją ci ludzie, nawiązują się, przyjaźnią, miłością, narastają niechęci.

Przedstawienie było bardzo interesujące, dynamiczne, o spójnej strukturze, szczególnie w swojej pierwszej części. Część druga przedstawienia, jest niezwykle ciekawa treściowo, niestety, nie została w pełni wygrana. Wesker wychodzi z niej poza samą kuchnię, wprowadza do niej świat zewnętrzny i jego problemy: „Płacę wam przyzwicie, jedzenie macie dobre, czego jeszcze chcecie?”. W pierwszej części reżyser operował skrótem, dążąc do maksymalnej syntezy i kondensacji, w części drugiej tych elementów zabrakło. Zabrakło tu nie tylko samej syntezy ujęcia obrazu czy sceny, ale chyba także cierpliwości w prowadzeniu spektaklu, bo i aktorzy jakby przystanęli, zwolnili tempo.

W drugiej części spektaklu zatarciu uległy istotne dla całości dramatu sprawy: ci ludzie nie mają prawa do normalnego życia, przede wszystkim nie mają na nie czasu. To życie jednak gdzieś tam się tli. W pewnym momencie wybucha z całą siłą. Człowiek się buntuje, opanowuje go chęć niszczenia, zemścić się, odegrania za swój los. Tak zrozumiałam atak szału jednego z pracowników.

W sumie przecież był to spektakl, który pobudzał do myślenia, chociaż pokazywał tylko naga, wybebeszona kuchnię wielkiej restauracji w Tiwoli. W kuchni tej poruszali się ludzie bez masek, bez osłonek i upiększeń. Reżyser dogrzebał się do wnętrza bohaterów dramatu, do wnętrza tego bezosobowego, beztwarzowego tłumu. W ten sposób powiedziano nam wiele prawdy o człowieku, o ludzkiej zbiorowości. Chwilami była to prawda gorzka, chwilami żalonna. No cóż, może właśnie tacy oni są, w tych londyńskich kuchniach.

JUSTYNA HOFMAN

Teatr Polski we Wrocławiu, Arnold Wesker: „Kuchnia”, przekład — Kazimierz Piotrowski, reżyseria — Wanda Laskowska, scenografia — Zofia Pietrusińska.